

Barbara PODGÓRSKA

MAROKO – WIELKIE POLUDNIE

(15-22 marca 2012 r.)

(Organizator: Biuro Podróży ITAKA)

15 marca (czwartek)

Po nocy spędzonej w hostelu „Służewiec” odlatujemy do Agadiru o godzinie 11.10 samolotem Boeing 737 czeskiej linii Travel Service wyczarterowanym przez Biuro Podróży „Itaka”. Lot trwa bardzo długo – 5 godzin i dopiero po spojrzeniu na mapę przestaję się dziwić – Agadir leży mniej więcej na wysokości Wysp Kanaryjskich. Miasto wita nas temperaturą 27°C. Odprawa dość sprawna, szybko odnajdujemy właściwy autokar stwierdzając, że nasza grupa, licząca do ostatniej chwili...10 osób rozmnożyła się w cudowny sposób do 28. Część z nich to kandydaci do wyjazdu w innych terminach, a pozostali mieli jechać na „objazdówkę” do Egiptu, ale z powodu jakichś zamieszek w tym kraju zaproponowano im Maroko.

Jedziemy z lotniska do hotelu, droga dobra, lecz dookoła dziwna „kombinacja” – kwitnące krzewy bugenwilli i mnóstwo pelargonii, ogromne eukaliptusy i fikusy oraz olbrzymia ilość śmieci, głównie opakowań plastikowych roznoszonych z wiatrem. To niestety „genetyczna” choroba Afryki. Architektura miasta nie zwala z nóg, przeważają blokowiska i hotele. To zabudowa stosunkowo nowa, stare miasto zostało całkowicie zniszczone przez trzęsienie ziemi w 1960 r.

Hotel „Tulip Oasis” średni, w pokojach pościel i ręczniki „czyste inaczej”, lecz śpiemy tu jedną noc i nie mamy zamiaru postępować tak jak jedna z pań, która publicznie chwaliła się gromkim głosem, że trzykrotnie zmieniała pokój, bo ”w jednym były karaluchy, w drugim była brudna pościel, a w trzecim nie spływała woda w umywalni”. Pani ta swoim „występem” zezłościła nas totalnie i należy podziwiać spokój naszej przemiłej pilotki – Pani **Grażyny SZOPIŃSKIEJ**, o której będę jeszcze niejednokrotnie wspominała podkreślając jej wiedzę i profesjonalizm.

Kolacja rekompensuje niedostatki wyposażenia hotelu – jest świetna i bardzo urozmaicona, łącząca elementy kuchni francuskiej z marokańską. Bogaty bufet, wręcz trudny do opisanego, jakieś wyrafinowane przystawki, np. wydrążone ogórki faszerowane szpinakiem z czosnkiem, wędzone i smażone ryby, sałatki warzywne, mnóstwo warzyw, owoców i słodkości.

Najedzone „do oporu” padamy ze zmęczenia, aby odpocząć przed następnym dniem.

16 marca (piątek)

Hotel „Tulip Oasis” żegna nas pysznym śniadaniem –bufet zawiera m.in. różne rodzaje oliwek (najlepsze – faszerowane ziołami), krojone grejpfruty i pomarańcze, pieczone pomidory, sałatki warzywne, naleśniki, dobre francuskie

pieczywo, świeżo wyciskane soki, płatki z mlekiem, kiełbaski na gorąco oraz inne potrawy (łącznie z zupą), których nie byliśmy w stanie spróbować.

Pakujemy bagaż do autokaru i ruszamy w daleką drogę do **ZAGORY** (ponad 500 km!!). Przejeżdżamy przez Agadir oglądając na wysokiej górze napis w języku arabskim „Bóg, naród i król”. Napis ten będzie pojawiał się w wielu innych miejscach. W rezultacie wspomnianego wcześniej trzęsienia ziemi zginęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a wielu zabiła epidemia cholery. Całą medynę wraz ze zniszczonymi domami wyrównano i pozostawiono w nienaruszonym stanie. Dziś Agadir to duże, nowoczesne miasto liczące 780 tysięcy mieszkańców i dające pracę w usługach turystycznych oraz w wielkim porcie „sardynkowym”, gdzie mieszcza się przetwórnice tych ryb oraz owoców i warzyw. Nazwa „Agadir” oznacza „ufortyfikowany spichlerz”.

Król Mohammed VI panuje od 1999 r., jest doktorem praw, studiował w Anglii i Francji. Mieszkańcy Maroka bardzo go szanują, ponieważ wiele dobrego zrobił dla swojego kraju. Dynastia Alawitów, do której należy król, panuje w Maroku od 1666 r i wywodzi się od samego Mahometa. Ojciec króla - Hassan II rządził autokratycznie, co napotykało na silny sprzeciw grup opozycyjnych. Podobno było ponad 40 zamachów na jego życie. Miał cztery żony, 40 konkubin oraz nawet niewolników w pałacu (w końcu XX wieku!!!). Po jego śmierci nowy król Mohammed VI utworzył więzienia, uwolnił więźniów politycznych, pozwolił dysydemtom na powrót do ojczyzny i zmienił obowiązujące dotychczas obyczaje. Ożenił się z piękną Berberyjką z Fezu – Maliką, wykształconą informatyczką i zaprezentował ją w mediach. Jest to szczęśliwe małżeństwo, mające dwójkę dzieci – syna i córkę. Kiedy król Mohammed VI objął rządy – 48% obywateli Maroka nie umiało czytać ani pisać, z czego 76% stanowiły kobiety. Król stworzył możliwości nauki, nawet w małych wioskach, zorganizował kursy zawodowe dla kobiet. Poważnym problemem, na jaki napotkał nowy władca, było olbrzymie bezrobocie. Częściowo rozwiązał ten problem uruchamiając wielki front robót publicznych. Buduje się bardzo dużo, w centrum kraju są już wspaniałe autostrady, np. autostrada Agadir – Marakesz, licząca 200 km i biegnąca przez góry, zbudowana w ciągu 5 lat. Budowano ją w ten sposób, że najtrudniejsze fragmenty (tunele, wiadukty) wykonywali Japończycy, materiały dostarczali Turcy, a robociznę zapewniali Marokańczycy. Król rozreklamował marokańskie rzemiosło, zwłaszcza berberyjskie (dywany, kilimy, biżuteria, ceramika, wyroby z korzenia tui) urządzając wiele wystaw, co sprawiło, że turyści dokonują licznych zakupów naprawdę wartościowych przedmiotów. Oficjalnie bezrobocie ocenia się na 17%, ale w rzeczywistości jest dwukrotnie większe. Najniższa pensja wynosi około 200 euro. Nauka w szkole obowiązuje do 15 roku życia, ale młodzież uczy się chętnie, wśród studentów 60% to dziewczyny. Król zniósł wielożeństwo, istnieje jednak pewne odstępstwo – można poślubić drugą kobietę, jeśli pierwsza nie może dać mężowi dziecka. W kraju narasta problem kobiet samotnie wychowujących dzieci – w dość ortodoksyjnym społeczeństwie

są one pogardzane i muszą radzić sobie same. W 2008 r. ich liczbę oceniano na 28 tysięcy.

Jedziemy przez równinę Sous, żyzną, pokrytą plantacjami drzew cytrusowych. Na zboczach gór towarzyszą nam drzewa arganowe (*Argana spinosa*), zajmujące ogółem powierzchnię 800 tysięcy hektarów. Są to drzewa endemiczne, rosnące jedynie w Maroku. Próbowano sadzić je w Meksyku, rosły, ale nie owocowały. Rozmnażają się one z rozłogów korzeniowych. Są intensywnie zielone, o kulistej koronie, a ich cennym produktem są orzechy arganowe – surowiec do wyrobu oleju jadalnego i kosmetycznego. Na ten temat napiszę później.

Dojeżdżamy do miasta **TARUDANNT**, określanego (chyba trochę na wyrost) jako „mały Marakesz”. Założone w XI wieku, lata świetności przeżywało w wieku XVI za panowania dynastii Sadytów, a przez 20 lat było nawet stolicą Maroka. Zachowały się w nim w doskonałym stanie potężne mury obronne.

Wędrujemy po bazarze (suku) – sprzedaje się tu głównie warzywa, owoce, mięso, ryby, ciuchy – bajecznie kolorowe dżelaby haftowane cekinami i koralikami, typowe dla Maroka papucie „babouches” i różnego rodzaju „suweniry” na ogół w nienajlepszym guście. Wszędzie tłumy ludzi, przeważnie w tradycyjnych strojach, wiele kobiet z zakrytymi twarzami, noszących suknie we „wścikłych” kolorach – żółte, pomarańczowe, fioletowe, czasem niebieskie upamiętniające tzw. „błękitnego sułtana”.

Panuje straszliwa susza, od początku października nie spadła nawet kropla deszczu. Dobrze, że w Maroku istnieje 128 zbiorników retencyjnych wybudowanych przez Francuzów i marokańskich władców – można z nich korzystać w czasie suszy i nawadniać pola uprawne.

Mijamy miasteczko **TALOUINE** – zwane stolicą szafranu. To bardzo droga przyprawa składająca się z suszonych pręcików krokusa, czyli szafranu. Niejednokrotnie turyści kupują coś, co nieuczciwi sprzedawcy nazywają szafranem, a co jest po prostu mieloną kurkumą.

Pani Grażyna opowiada nam o Berberach – rdzennych mieszkańcach Maroka, stanowiących ponad połowę ludności kraju. To dumni ludzie, stawiający na pierwszym miejscu przynależność do swojego szczepu, a dopiero na drugim – do narodu marokańskiego. Ich język uważany jest za najstarszy w Afryce północnej. Historia Berberów nie jest dobrze znana, ponieważ nie umieli oni pisać i nie istnieją żadne berberyjskie dokumenty pisane. Berberem był jeden z doktorów kościoła katolickiego – święty Augustyn. Symbolem Berberów jest człowiek z uniesionymi rękami, co oznacza człowieka wolnego. Symbol ten, ułożony z białych kamieni, widoczny jest często na zboczach gór.

W II wieku przed naszą erą na teren dzisiejszego Maroka przybyli Żydzi oraz potomkowie czarnych niewolników z południa Afryki tworząc wraz z miejscową ludnością konglomerat różnych kultur i języków, wprowadzając różnorodne potrawy i obyczaje. W Maroku nie było nigdy wojen religijnych,

różne narody żyły we względnej zgodzie. Ciekawym i mało znanym jest fakt wyjazdu po II wojnie światowej ponad 250 tysięcy Żydów do Izraela i to nie z miłości do nowej ojczyzny, ale dlatego, że Mosad porywał im dzieci zmuszając w ten sposób do opuszczenia Maroka.

Cały czas jedziemy doliną Sous, urodzajną, zieloną, pełną sadów i pól uprawnych. Z obu stron towarzyszy nam za mgiełką Atlas Wysoki, ale generalnie to pustkowia, słabo zaludnione. Wszędzie pełno drzew arganowych, a między nimi rosną szare krzewy – to jojoba, krzew wykorzystywany również w produkcji kosmetyków. Śmiesznie wyglądają kozy wspinające się na drzewa arganowe i wyszukujące wśród kolczastych gałęzi smaczne orzechy. To nie kozy - to akrobatki!!

Zatrzymujemy się w przydrożnej gospodzie na smaczny lunch składający się z sałatki, wegetariańskiego tadżinu, szaszłyków drobiowych, owoców i jogurtów.

Historia tych terenów jest jak wielobarwny dywan, bo przebywało tu tyle różnych narodów. Po Berberach dotarli tu Fenicjanie, następnie Kartagińczycy i Rzymianie. Najstłynniejszym władcą był Juba II panujący na przełomie pierwszego wieku przed Chrystusem i pierwszego wieku po Chrystusie. Poślubił on Kleopatę Selene. Rzymianie zajmowali te tereny do III wieku, kiedy to zjawili się tu Wandalowie. Berberowie przebywali tu przez cały czas, ale toczyli między sobą walki plemienne.

Pani Grażyna opowiada historię Mahometa i jego żony Hadżidży (Żydówki, starszej od niego o 15 lat), historię islamu – religii, która powstała na bazie chrześcijaństwa i judaizmu oraz historię okrutnego sułtana Mulaj Ismaila.

Twórcą islamu był niepiśmienny kupiec z Mekki – Mahomet (Mohammed). Za początek kalendarza muzułmańskiego przyjęto rok 622, w którym nastąpiła ucieczka Mahometa z Mekki do Medyny. Miał on do chwili śmierci w roku 632 liczne objawienia, a wyznawcy notowali i zapamiętywali jego wypowiedzi. Po śmierci Mahometa nastąpił burzliwy rozwój islamu. Mahomet nie miał męskiego potomka, a jedynie córkę Fatimę i zięcia Alego. Powstał problem: czy następcy Mahometa - kalifowie mają być wybierani, czy też mają pochodzić z linii zięcia Mahometa – Alego. Zwolennicy pierwszej opcji – to sunniti, drugiej – szyiti. Konflikt między sunnitami a szyitami trwa do dnia dzisiejszego, zwłaszcza w Iraku. W świecie islamskim 85% stanowią sunniti, a jedynie 15% szyiti. Jedynym krajem na świecie, w którym 100% wyznawców islamu to szyiti jest Iran. Szyiti mają również znaczny wpływ w Jemenie, Bahrajnie i Iraku. Święta księga islamu – Koran – powstała w 20 lat po śmierci Mahometa, za panowania trzeciego kolejnego kalifa. Wówczas spalono wszystkie poprzednie wersje Koranu i ustalono jedną, obowiązującą do dziś. Szyiti twierdzą, że z sunnickiej wersji Koranu usunięto zapisy mówiące o dziedziczeniu władzy przez linię potomków Alego. Koran można traktować jako księgę prawa (szariat). Nastąpiły jednak sytuacje, których Koran nie przewidział i w 150 lat po śmierci Mahometa postanowiono wzorować się na jego

postępowaniu i napisano tzw. „hadissy” składające się z wywodów genealogicznych i opisów czynów Mahometa. Zbiór hadissów tworzy tzw. „sunnę”. Imam w rozumieniu sunnitów to człowiek wybrany spośród wiernych, prawy, mądry, który prowadzi modły. Nie jest osobą duchowną, można go porównać z rabinem. Wśród szyitów pierwszych dwunastu imamów uznaje się za świętych, do których należy się modlić. W Iraku odbywają się pielgrzymki do grobów imamów. W państwach zdominowanych przez szyitów imamowie mają wielką władzę ingerując bezpośrednio w sprawy państwa.

A oto pięć filarów islamu:

- 1) wyznanie wiary – Allach jest jedynym bogiem, a Mahomet jest jego prorokiem;
- 2) należy przestrzegać postu w czasie Ramadanu;
- 3) należy modlić się pięć razy dziennie;
- 4) należy być hojnym dla ubogich i przeznaczyć na ten cel 2.5% podatku od wolnych środków;
- 5) należy przynajmniej raz w życiu odbyć hadż – pielgrzymkę do Mekki (o ile kogoś na to nie stać może to uczynić poprzez pośrednika).

Mulaj Ismail to historia sprzed 300 lat. Wsławił się on niespotykanym okrucieństwem i przedziwnymi ambicjami. Obrabował i zniszczył Volubilis budując w Meknes olbrzymie pałace oraz stajnie na 12.000 koni (tak podają niektóre przewodniki, ale Pani Grażyna twierdzi, że były to magazyny). Dzisiaj, podobnie jak w Splicie, w pałace te, ciągnące się kilometrami, wbudowane jest całe miasto. Mulaj Ismail miał 30 tysięcy niewolników chrześcijańskich, porywanych podczas napadów na statki, 500 żon i podobno 700 synów, o córkach nie mówiąc. Imponował mu szalenie król Francji Ludwik XIV (Król Słońce) i Mulaj Ismail zapragnął zostać jego zięciem. Podobno w reakcji na tę propozycję Ludwik XIV dostał paroksyzmu śmiechu. Armia Mulaj Ismaila składała się z 30 tysięcy wojowników, również czarnoskórych, pochodzących z Etiopii. Mulaj Ismail „przydzielał” im żony, bowiem mieli oni obowiązek płodzić synów, którzy w przyszłości byliby przeznaczeni do służby królowi. „Miłym” zwyczajem Mulaj Ismaila było przechadzanie się wśród pracowników i mordowanie wybrańców różnymi sposobami (ścinanie głów, rzucanie włócznią, podrzynanie gardeł). Gdy nosił żółtą szatę – wiadomo było, że będzie mordował. Po śmierci Mulaj Ismaila (panował 55 lat) nastąpiło takie zamieszanie wśród jego licznych synów, że przez 20 lat nie było wiadomo, kto ma rządzić państwem. Ciekawostką jest fakt, że oceniany współcześnie jako ktoś sytuujący się pomiędzy Hitlerem a Stalinem, jest władcą najbardziej czczonym przez Marokańczyków. No cóż, o gustach się nie dyskutuje...

Widoki towarzyszące nam z obu stron drogi są niesamowite, a różne formy skalne przypominają trochę nasze Góry Stołowe, lecz ich barwy zmieniają się co chwila – od beżu poprzez żółć aż do czerwieni. Barwy te zależą od składu chemicznego skał i kąta padania światła słonecznego. Drogi dobre, ale bardzo

kręte, przed każdym ostrzejszym zakrętem kierowca trąbi uprzedzając pojazdy zbliżające się z naprzeciwka o tym, że jedzie...

Wjeżdżamy do doliny rzeki Draa, w której, o dziwo, jest trochę wody, a tam, gdzie jest woda – jest i wegetacja, tutaj w postaci gajów palmowych. W dolinie rzeki Draa zbudowano wiele kazb (kazba to ufortyfikowana budowla w formie czworokąta otoczona czterema wieżami, należąca do jednej rodziny). Kazby budowano z tak zwanej cegły mułowej złożonej z błota, pociętej słomy i różnych odpadków, wysuszonej na słońcu. Nie był to materiał trwały i dlatego wiele kazb uległo zniszczeniu, a właściwie rozmyciu przez opady. Wiele kazb w dolinie Draa należało do bardzo bogatej rodziny Glawi.

Wreszcie docieramy do Zagory, gdzie kwaterujemy się w hotelu Asmaa Palace, dużym i eleganckim. Mam nadzieję, że elokwentna i wymagająca pani nie będzie zgłaszała żadnych zastrzeżeń...

17 marca (sobota)

Wyruszamy z hotelu Asmaa Palace w Zagorze w kierunku...Timbuktu, co uwieczniono na wielkim muralu („Timbuktu – 52 dni jazdy na wielbłądzie”). Do Timbuktu (stolicy Mali) pewnie nie dojedziemy, bowiem naszym celem jest miasto **ERFOUD**.

Trasa przejazdu jest malownicza, mijane miasteczka **TAZZARINE** i **ALNIF** nie są miejscowościami oferującymi zabytkowe budowle do zwiedzania, tym niemniej raczą nas pięknymi widokami i mnóstwem różnego rodzaju skamieniałości zbieranych przez miejscową ludność i sprzedawanych na licznych przydrożnych straganach. Zadziwiają ogromne amonity, ciekawe trylobity i rozmaite inne stworzenia przypominające skorpiony, małże, pająki, wszystkie zachowane w bardzo dobrym stanie i pewnie niejeden miłośnik tego rodzaju obiektów byłby szczęśliwy mając je w swoich zbiorach.

Po obiedzie mijamy liczne gaje palmowe, ufortyfikowane wioski i spichlerze berberyjskie wtopione w piaskowo-beżowy krajobraz.

Pani Grażyna umila nam czas opowieściami o obyczajach ludności Maroka. Tym razem tematem wiodącym jest magia i czary, które są w Maroku bardzo popularne i w których skuteczność się wierzy. W przypadku choroby najpierw nie idzie się do lekarza, lecz do grobu świętego, czyli „marabuta” zanosząc tam prośbę o uzdrowienie lub odczarowanie, jeśli na kogoś rzucono urok. Uważa się, że uroki rzucają ludzie o jasnych lub zmrużonych oczach. To pewnie dlatego miejscowe kobiety nie pozwalają się fotografować obawiając się uroku. Ale jeśli już urok został rzucony należy do grobu marabuta przynieść jakiś przedmiot, np. włos lub szmatkę z odzieży osoby, którą posądza się o rzucenie uroku. W każdej wiosce mieszka osoba umiejąca leczyć wiele dolegliwości sposobami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie (ziołami, czarami), a pobiera opłatę kilkakrotnie niższą aniżeli lekarz. Pani Grażyna przytacza przypadki takich wyleczeń i odczyniania uroków, które spotkały ją osobiście. Święcie wierząc w uroki marokańskie kobiety noszą przy sobie amulety – wisioriki, kolczyki, breloczki, najczęściej przedstawiające rękę

Fatimy, córki Mahometa, broniące przed urokiem. Wszystkie amulety zawierają pięć elementów jak pięć filarów islamu – dłoń Fatimy („Hamza”) – 5 palców, gwiazda (w herbie Maroka) jest pięciokątna, są też inne elementy berberyjskie.

Marokańczycy wierzą także w dżiny, które mogą być pomocne lub złośliwe. My znamy dżina zamieszkującego lampę Aladyna. Według wierzeń Marokańczyków anioły powstały ze światła, ludzie z ziemi, a dżiny z ognia. O dżinach wspomina Koran, a więc należy bezwzględnie wierzyć w ich istnienie. Dżiny mogą przybierać postać człowieka lub zwierzęcia – najczęściej psa, węża lub kota, a od normalnych ludzi i zwierząt różnią się tym, że nie rzucają cienia. Na ogół dżiny przebywają w miejscach brudnych – śmietnikach, kanałach, grotach itp. Z tego względu nie wolno stawać na włączach studzienek kanalizacyjnych ani wylewać gorącej wody do zlewu, bo można narazić się dżinowi. Nie wolno także karmić kota po godzinie 17, bo może on zmienić się w dżina. Środkiem zapobiegającym bliższym kontaktom z dżinami jest sól, którą należy zawsze nosić ze sobą oraz rozsypywać w kątach mieszkania. Można także pozostawiać dżinom mleko w miseczce.

Bardzo ważną rolę w kontaktach towarzyskich odgrywają opowiadacze bajek, „urzędujący” często na placach miejskich i bazarach. Bajki na ogół nie mają końca, to taka marokańska „Moda na sukces” ciągnąca się latami. Bazarz przerywa opowieść w najciekawszym miejscu, zapowiadając dalszy ciąg następnego dnia i zapewniając sobie tym sposobem wierną publiczność.

Pani Grażyna postanawia dać nam przykład takiej bajki. W dawnych, dawnych czasach żyło sobie osierocone rodzeństwo – siedmiu braci i siostra. Bracia zajmowali się handlem jeżdżąc z karawanami do dalekich krajów, a siostra musiała sama zostawać w domu i czekać na ich powrót. Nie mogła wychodzić bez opieki mężczyzny, więc żywot jej nie był łatwy. Ponieważ braciom trafiła się okazja bardzo dalekiego wyjazdu postanowili zabezpieczyć siostrę przez jakąś niepożądaną wizytą montując siedem potężnych drzwi zamkniętych na mocne zamki i zapewniając jej zapas żywności. Aby dziewczyna zbyt nie nudziła pozostawili jej do towarzystwa kota ostrzegając, aby pod żadnym pozorem nie otwierała drzwi i nie wychodziła na zewnątrz. Przez kilka dni wszystko było w idealnym porządku, ale któregoś dnia dziewczyna zapomniała nakarmić kota, a że był to zwierzak wyjątkowo złośliwy – nasikał jej na zapałki tak, że nie mogła rozpaścić ognia, aby ugotować sobie coś ciepłego. W mieszkaniu zrobiło się bardzo zimno i dziewczyna była zmuszona otworzyć siedem drzwi i wyjść z domu na poszukiwanie ognia. Na dworze było już ciemno, nic nie widziała, ale po długiej wędrówce zauważyła światełko w oddali. Stała tam niewielka chata, do której zmęczona i zdenerwowana zapukała. Gdy weszła do środka zobaczyła, że w izbie na koziej głowie siedział straszny potwór. Głowę miał omotaną zwierzęcymi jelitami i mieszał w garnku kozią kością. Zachował się wobec dziewczyny grzecznie, podał jej w miseczce żarzące się węgielki, ale korzystając z okazji lekko skaleczył ją w dłoń. Dziewczyna wróciła do domu, zamknęła siedem drzwi i rozpałała ogień, ale

potwór po śladach krwi odnalazł jej dom i zaczął się dobijać do pierwszych drzwi pytając, czy go poznaje. Ona sprytnie odpowiedziała, że oczywiście, bardzo dobrze go pamięta, bo siedział na złotym tronie, na głowie miał złotą koronę i mieszał srebrną łyżką w złotym garnku. Zadowolony z odpowiedzi potwór wyważył pierwsze drzwi, a potem wywazał kolejne za każdym razem uzyskując od dziewczyny taką samą odpowiedź. Gdy już pozostały tylko ostatnie drzwi – wrócili bracia dziewczyny, a ona opowiedziała im prawdę o swojej przygodzie. Wówczas oni postanowili zastawić na potwora pułapkę. Za ostatnim drzwiami wykopali głęboki dół, a gdy nadszedł potwór tym razem dziewczyna powiedziała mu „najprawdziwszą prawdę” o jego wyglądzie. Wściekły do granic możliwości wywalił drzwi i wpadł do dołu, a wówczas bracia wsypali tam rozżarzone węgle. Płonąc potwór zapowiedział dziewczynie, że nawet po śmierci ją zabije. Minęło kilka lat, dziewczyna siedziała na dachu domu tkając dywan i nagle nadleciał wielki kruk trzymając w dziobie odgrzebaną gdzieś na pustyni kość potwora. W pewnym momencie wypuścił ją prosto na głowę dziewczyny, która padła martwa. I tak spełniło się proroctwo potwora, a morał z tej bajki jest taki, że pod żadnym pozorem nie wolno nikogo okłamywać...

Inna bajka, kończąca się happy endem to historia tradycyjnego napoju marokańskiego – herbaty miętowej, zwanej „marokańską whisky”.

Dawno, dawno temu żyła księżniczka, bardzo wybredna, która odrzucała każdego kandydata na męża zastanawiając się pewnie „gdzie ci mężczyźni”... W poszukiwaniu właściwego partnera założyła burkę zasłaniającą szczelnie jej twarz i ciało i opuściła pałac udając się „do ludzi”. Wędrowała od kazby do kazby, z bazaru na bazar, aż w końcu zobaczyła na polu pracującego rolnika, a serce powiedziało jej „to ten”! Porozmawiała z nim utwierdzając się w przekonaniu, że to właściwy mężczyzna. Mimo obowiązujących zakazów przychodziła do niego wielokrotnie, aż wreszcie podjęła decyzję i wyznała mu, że go kocha i że chciałaby wyjść za niego. Mężczyzna, mimo że także nie była mu obojętna, powiedział: „Jesteś zakryta burką, a ja nie wiem, czy nie jesteś stara, brzydka lub dziobata. W takiej sytuacji nie mogę się z tobą ożenić.” Wówczas księżniczka zrzuciła burkę, a on zobaczył, jaka jest piękna, jaką nosi drogą suknię i ile ma na sobie kosztownych klejnotów. „Nie mogę się z tobą ożenić, bo jesteś bogata, a ja biedny. To niemożliwe!” – powiedział. Ona nie ustępowała, więc postanowił, że podda ją poważnej próbie. Poczekaj na nią przed pałacem, a ona musi z jego chatki przynieść mu szklankę miętowej herbaty, ale z pianką, która nie może opaść. Dziewczyna zgodziła się i powoli szła niosąc herbatę i uważając, aby pianka nie opadła. Niestety, gdy zobaczyła oczekującego na nią ukochanego, pianki już nie było – opadła... Zrozpaczona księżniczka zaczęła się żalić Allahowi, że niosąc tę herbatę włożyła w to całe swoje głębokie uczucie, ale to widocznie nie wystarczyło. Jej gorące łzy sprawiły, że Allah zlitował się nad jej miłością odtwarzając piankę na herbacie. I w ten sposób młoda para żyła długo i szczęśliwie, a miętowa herbata stała się

symbolem wiernej miłości. Aby zawsze była ozdobiona pianką nalewa się ją z dużej wysokości ze specjalnych czajników o bardzo cienkim „dzióbku”...

Zasłuchani w opowieści pani Grażyny nawet nie zauważyliśmy, że dojeżdżamy do **ERFOUD** – miasta znanego ze skamieniałości i dywanów berberyjskich.

Większość grupy udała się dżipami na pustynię, aby oglądać zachód słońca i skorzystać z przejażdżki na wielbłądach. My z Lucyną znamy już tego rodzaju atrakcje i postanawiamy wybrać się do miasteczka w poszukiwaniu folkloru. Hotel usytuowany jest dość daleko (2 –2,5 km) od miasteczka, ale co to dla nas! Idziemy poboczem drogi (nie ma chodnika) w strasznym kurzu. Wiemy, że w mieście, stosunkowo nowym, zbudowanym na początku XX wieku przez francuską Legię Cudzoziemską, nie ma nic specjalnie ciekawego, ale nas to nie zraża. Napotykamy duży sklep z dywanami i kilimami, do którego wchodzimy „z pewną taką nieśmiałością”. Gdy pozdrowiłam właściciela po francusku – rozjaśnił się jak słońce w południe, zaprosił dalej i zaczął prezentować istne cuda, naprawdę piękne dywany z wełny owczej i wielbłądziej, ale urzekły mnie kilimy berberyjskie przedstawiające rozrzucone na ceglastym lub brązowym tle wzory tatuaży. Każdy tatuaż oznaczał coś innego – kobietę zamężną, zaręczoną lub panienkę. W ten sposób ludzie nie umiejący czytać od razu wiedzieli, z kim mają do czynienia. Berberyjskie kobiety nie zasłaniają twarzy, a tatuaże robią sobie na czole. Lucyna po długich targach daje się skusić i nabywa piękny chodniczek w kolorze indygo. Ciekawe były również narzuty czy serwety utkane z włókien agawy, barwione naturalnymi roślinnymi barwnikami. Przypominały w dotyku dość ostry len. Opuszczamy gościnny sklep i włączymy się po miasteczku, w którym trwa wieczorny targ uliczny. Na chodnikach rozłożona jest „chinina” w postaci garnków, plastikowych misek i talerzy, latarek itp., a także miejscowe „lumpeksy” – używane ciuchy i buty. Na wąskich uliczkach jest wiele sklepów ze złotą biżuterią, widać kobiety, które ją oglądają i kupują. Są sympatyczne, chętnie rozmawiają, ale niestety, nie pozwalają zrobić sobie zdjęcia. Powoli zapada zmrok, a my ewakuujemy się do hotelu i docieramy równocześnie z uczestnikami wyjazdu na pustynię. Teraz już tylko kolacja, prysznic, omówienie „spraw dnia” i odpoczynek przed kolejnym dniem.

18 marca (niedziela)

Opuszczamy sympatyczny hotel w Erfoud (przypominający kazbę) i oddalamy się od niego dosłownie o kilkanaście metrów, aby obejrzeć wytwórnę przedmiotów z marmuru zawierających powszechnie na tych terenach skamieniałości. Są to na ogół wyszlifowane blaty stołów, stolików, szafek i innych mebli sporządzone z marmurowych płyt zawierających amonity, trylobity i inne stwory. Oprócz blatów można obejrzeć i kupić same skamieniałości wyszlifowane lub nie. Najwięcej ich występuje w odległości kilku kilometrów od Erfoud.

Wyjeżdżamy z Erfoud i w niewielkiej odległości od miasta napotykamy istny „księżycowy krajobraz” – mnóstwo niewielkich kraterów na pustyni. Są to tak zwane „hataras”, czyli system nawadniania zbudowany w XII wieku. Są to głębokie szyby połączone podziemnymi korytarzami. Niektóre z nich są nadal czynne i dostarczają wodę, o czym świadczy wielki namiot, z którego po chwili wynurzają się mieszkańcy aby zaprezentować nam jego wnętrze oraz próbować sprzedać skamieniałości i tandetne indyjskie koraliki.

Jedziemy dalej, a pani Grażyna opowiada o tatuażach charakterystycznych dla poszczególnych szczepów zamieszkujących tereny Atlasu. Kiedyś tatuaże były robione „na zawsze”, na ogół na czole, bowiem ludzie nie umieli czytać i wszystko, czyli swoją przynależność, mieli „wypisane na twarzy”. Symbolem płodności były trójkąty lub liście palmowe. Trochę na ten temat opowiedział nam miły właściciel sklepu z dywanami w Erfoud. Teraz tatuaże są krótkotrwałe, malowane henną.

Kolejnym interesującym tematem są obyczaje weselne. Dla młodej pary wynajmuje się lektyki i trony, obdarza się ją wyrobami ze złota, a uroczystości weselne trwają co najmniej trzy dni. Złoto stanowi zabezpieczenie kobiety na wypadek śmierci męża (żałoba trwa 4 miesiące i 10 dni). We wsiach berberyjskich panna młoda nie może dotknąć stopą ziemi, aby do domu pana młodego nie przedostały się dżiny – wnoszą ją kobiety z jego rodziny. Na pożegnanie matka całuje pannę młodą w kolano...

Drugą, poza weselem, ważną uroczystością jest obrzezanie chłopca, co następuje między piątym a siódmym rokiem życia. Wówczas chłopcu umieszcza się na ciele tatuaże, a zabieg obrzezania wykonują fryzjerzy lub zaklinacze węży. Bardzo ważnym świętem jest tzw. ofiarowanie, którego przedmiotem jest baran.

Zbliżamy się do miasteczka **TINERGHIR** położonego nad rzeką Todra w pobliżu wspaniałych gajów palmowych. Miasteczko jest urocze, a jego gliniana zabudowa ma barwę czerwonawą. Domy w większości to kazby usytuowane na tarasach. W centrum jedna z kazb należy do rodziny Gławi.

Docieramy do wąwozu Todra, niezbyt długiego, bo liczącego sobie około 800 m, ale wąskiego i wysokiego. W niektórych miejscach ściany zwężają się i wznoszą na wysokość 300 m. Czerwona barwa skał i tajemnicza atmosfera wąwozu przypominają nieco „siq” wiodący do Petry. I to w tej właśnie atmosferze ze wspaniałym widokiem na rzekę i skały jemy smaczny obiad z tadżinem na czele!

Dalsza jazda prowadzi wzdłuż doliny rzeki Dades, słynącej z uprawy róż. Maroko produkuje dużą ilość olejku różanego zajmując trzecie miejsce na świecie po Bułgarii i Turcji. Zabudowa miasteczka (a może wioski) M’Gouna jest dość gęsta, domy barwy brudno różowej lub żółtawo beżowej wtapiają się w skały o takiej samej barwie. Nowo zbudowane domy przypominają swoim wyglądem kazby, często mają po cztery wieżyczki. Mijamy wiele zrujnowanych

kazb, materiał, z którego zostały zbudowane (głina ze słomą) rozmyły prawdopodobnie opady deszczu.

Jedną z kazb – XVIII-wieczną, stanowiącą własność rodziny Ben Moro, udaje nam się zwiedzić. Kazba jest w trakcie renowacji, bowiem właściciel adaptuje ją na hotel.

Docieramy do **OUARZAZATE** – dość dużego miasta będącego stolicą południowego Maroka, a na horyzoncie rysuje się pasmo Atlasu Wysokiego. Miasto rozwinęło się w latach 20. XX wieku jako garnizon francuski i centrum administracyjne. Tu spędzimy noc, a następnego dnia czeka nas wczesny wyjazd.

19 marca (poniedziałek)

Wyjeżdżamy dość wcześnie (o godzinie siódmej), bo program na dzień dzisiejszy jest dość bogaty.

Najpierw zatrzymujemy się obok najstarszego studia filmowego w Maroku – Studia Atlas. Trudno się dziwić, że pejzaże Maroka stały się inspiracją dla wielu reżyserów znanych filmów, a w studiu Atlas kręcono między innymi „Ostatnie kuszenie Chrystusa” (1998) Martina Scorsese, „Kundun” (1997) – epicką biografię dalajlamy również Martina Scorsese oraz „Gladiatora” (2000) Ridleya Scotta ze wspaniałymi efektami specjalnymi i Russelem Crowe w roli głównej. Dziś studio jest nieczynne, dość zaniedbane, stoją przed nim pseudo-egipskie kiczowate posągi, a przez kraty bramy można obejrzeć czerwony samochód Jamesa Bonda.

Z daleka widać kazbę Taurit należącą do bogatej rodziny Gławi opuszczoną w 1956 r. Labirynt budowli powoli pochłania czerwona ziemia... Potężny ród Gławi rządził Atlasem w latach 1875-1956. Jego przedstawiciele byli początkowo zwykłymi przywódcami plemiennymi, jednak udało im się przejąć kontrolę nad bardzo ważną górską drogą Tizi n'Test prowadzącą z Ourzazate do Marrakeszu. W przeciwieństwie do innych górskich szczepów, które walczyły z kolonizatorami, Gławi zawarli z Francuzami układ. Francuski marszałek Lyauley docenił pomoc okazaną przez plemię i nie przeszkadzał mu w umacnianiu wpływów. Dwaj bracia – Madani i Thami – ogłosili się paszami Marrakeszu wyznaczając innych członków rodziny na wodzów szczepowych sprawujących despotyczną władzę nad większymi miastami w Atlasie i na pustyni.

Zatrzymujemy się obok kazby **TIFOULTUTE**, zniszczonej przez wodę i czas. Część jest zaadaptowana na restaurację, która jest już czynna i bardzo ciekawie udekorowana. Można wejść na taras i podziwiać rozciągający się widok, a także sfotografować zbudowane na jednej z wież bocianie gniazdo i jego mieszkańców.

Dzięki bezcennej inicjatywie pani Grażyny jedziemy zwiedzić dokładnie ksar (ufortyfikowaną wioskę) **AIT BENHADDU**, który według programu wycieczki, mieliśmy obejrzeć jedynie z zewnątrz. Byłaby to niepowetowana strata, bowiem jest to jedno z najpiękniejszych miejsc, z jakim mieliśmy okazję

się zapoznać. Miejsce to było kiedyś ważnym punktem na trasie karawan wędrujących między Ouarzazate a Marrakeszem. UNESCO wpisało ksar na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego. Prowadzi się tu liczne prace remontowe mające zapobiec niszczeniu cennych zabudowań. Ksar był doskonale zabezpieczony przed atakiem z zewnątrz, a i my napotykamy na pewne trudności w rozpoczęciu wspinaczki. Nie ma mostu i przez rzekę musimy przechodzić po śliskich workach z piaskiem ułożonych w poprzek nurtu. Wspinamy się po stromych i wyślizganych schodach do tak zwanego „agadiru”, czyli starego, ufortyfikowanego spichlerza pełniącego w swoim czasie funkcję twierdzy, skąd roztaczają się przepiękne widoki. Oczywiście wykorzystali je znani reżyserzy kręcąc tu wiele scen z filmów „Lawrence z Arabii” (1962) i „Gladiator” (2000).

Schodząc na dół mijamy liczne kramy i sklepiki oferujące tak, jak wszędzie, tandetną biżuterię „Made in India”.

Pani Grażynie należą się stokrotne podziękowania za umożliwienie nam obejrzenia tego magicznego miejsca...

Teraz kierujemy się w stronę Marrakeszu podziwiając w oddali ośnieżone szczyty Wysokiego Atlasu. Nasz znakomity kierowca pokonuje z wdziękiem setki zakrętów, a wszyscy robią przez szyby zdjęcia różnobarwnych skał na zboczach gór. Skały są żółte, beżowe, pomarańczowe, czerwone, a nawet zielonkawe. Nie są nagie – rosną na nich cedry i sosny Aleppo. Docieramy do najwyższej położonej przełęczy **TISCHKA**, gdzie panuje przenikliwe zimno. To szok w porównaniu z upałem, jaki towarzyszył nam w Ait Benhaddu. Oczywiście na przełęczy również oferowane są skamieniałości i farbowane minerały w geodach, ale niska temperatura zapędza wszystkich do autokaru.

Ponieważ za jakiś czas dotrzemy do **MARRAKESZU** – pani Grażyna wprowadza nas w historię miasta. Jest to miasto egzotyczne, a według niektórych informacji jego nazwa oznacza „uciekaj stąd jak najszybciej”, bowiem już od momentu jego założenia, czyli od 1060 r., istniały tu problemy z wodą. Sercem i „perełką” miasta jest plac **JEMMA EL FNA**, co oznacza „plac bez meczetu”, „plac ściętych głów” lub też „stowarzyszenie umarłych”. Jeszcze niedawno odbywały się tam targi niewolników. Jako pierwsi przybyli w to miejsce Almorawidzi, czyli „niebiescy ludzie”, którzy wybudowali pierwszy meczet i pałac. Kolejnym ważnym momentem dla miasta było wybudowanie w XII wieku przez Jakuba el Mansura meczetu Kutubija. Minaret tego meczetu ma wysokość 80 m. Kolejną dynastią panującą w Marrakeszu byli Sadyci. Ich przepiękne grobowce zasypał śmieciami i zamurował Mulaj Ismail, a odkrył je i udostępnił do zwiedzania francuski marszałek Lyauley. Kolejnym ciekawym obiektem w Marrakeszu jest pałac Bahia zbudowany w stylu mauretańskim. W 1912 r. do Marrakeszu wkroczyli Francuzi, a ich rządy trwały do 1956 r. Dziś Marrakesz jest dużym miastem liczącym 1,8 mln mieszkańców. Egzotyczny charakter miasta przyciągał wielu sławnych ludzi – w ekskluzywnym hotelu

Mamounia miał swój apartament Winston Churchill, mieszkała tam Agata Christie, a niemal stałym mieszkańcem miasta był Yves Saint-Laurent.

Nocujemy w bardzo eleganckim hotelu Ryad Magador Gueliz.

20 marca (wtorek)

Zwiedzanie Marrakeszu rozpoczynamy od wizyty w Medresie Ben Jusufa, największej szkole koranicznej w Maroku. Jej przepiękny dziedziniec wybudowany w stylu mauretańskim przypomina najwspanialsze budowle Granady. Zwracają uwagę misterne napisy na kolumnach wykonane w języku kufarskim (od miasta Kufa) – przypominają one gałązki i wici roślinne. Na końcu dziedzińca widać bogato zdobiony portal prowadzący do sali modłów. Sklepienie tworzy kopuła z drewna cedrowego z 24 okienkami i subtelną sztukaterią. Mihrab ozdobiono ażurową rzeźbą przypominającą koronkę. Na pierwszym piętrze znajduje się 150 pomieszczeń dla studentów (bywało ich nawet 900!) urządzone niezwykle skromnie, wręcz spartańsko.

Teraz czeka nas spacer po Placu Jemma el Fna . Szkoda, że to przedpołudnie – plac jest prawie pusty, tu najbardziej interesujące spektakle odbywają się późnym wieczorem, a właściwie w nocy. Wtedy grają liczne egzotyczne zespoły muzyczne, opowiadają bajki bazarze, pokazują różne sztuki akrobacji i treserzy zwierząt – małp i węży, oszuści grają w „trzy karty”, wrzeszczą i biją się... My oglądamy jedynie roznosiciele wody ubranych na czerwono, lecz oni wody już nie roznoszą, tylko za odpowiednią kwotę dirhamów pozują turystom do zdjęć. Ponieważ nie dopadła nas żadna „zemsta džina”, a ja z poprzedniego pobytu w Maroku wiem, że jedzenie i picie nawet na ulicy jest tu całkowicie bezpieczne, opijamy się świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy i szukamy wrażeń. Ponieważ o nie trudno – kupujemy kremy i mydełka arganowe, a Lucyna poddaje się malowaniu henną tatuazu na dłoni. Jedynym sensacyjnym stoiskiem, jakie widziałyśmy, był „gabinet” dentystyczny na świeżym powietrzu, gdzie można było wyrwać sobie ząb albo zakupić sztuczną szczękę (ciekawe byłyby przymiarki).

Po spotkaniu z resztą grupy udajemy się do apteki berberyjskiej, gdzie właściciel władający biegle językiem polskim prezentuje swoje wyroby: przyprawy, kosmetyki i leki. Marketing działa znakomicie („Jeśli kupisz trzy sztuki, to płacisz za dwie, a trzecią dostajesz za darmo!”), więc uczestnicy naszej grupy kupują jak najęci. Leki są „na wszystko” – jedne działają jak viagra, inne wręcz przeciwnie, nawet ja, odporna na reklamę, kupuję jakiś olejek i maść na bóle stawowo-mięśniowe. Pewnie skutkują tak jak woda święcona, ale spróbować warto.

Znów mamy czas wolny, więc łazimy po uliczkach suku otaczającego Plac Jemma el Fna bez określonego celu. Lucyna kupuje jakieś przyprawy, oglądamy wystawy sklepików, ale mamy zbyt mało czasu, aby podejmować jakieś konkretne handlowe manewry. Wracamy na plac, na który przybyli nowi uczestnicy codziennego, a właściwie conocnego spektaklu. Treser węży wyciąga z worka kobry, ale są tak zmaltretowane, że nie chce im się pozować, dostają za

to „po łbie”. Pijemy kolejne soki pomarańczowe, aby utrwalić sobie ich wspaniały smak...

Teraz mamy w programie Pałac Bahia zbudowany pod koniec XIX wieku przez wezyra (premiera) Bu Ahmeda z inicjatywy Mulaj Hassana, zwanego „szalonym sułtanem” ze względu na trwonienie przez niego ogromnych sum na różnego rodzaju „fantazje”. Wezyr mieszkał w pałacu z czterema żonami i 24 nałożnicami. Żadna z jego żon nie mogła dać mu dzieci, jednakże pierwsza żona wpadła na genialny pomysł i postarała się o syna „na boku”, a zachwycony tym wydarzeniem wezyr wybudował (za zgodą sułtana) pałac i nazwał go jej imieniem – Bahia. Pałac jest eklektyczny, łączy wiele stylów i przedziwnych elementów, niektóre dekoracje przypominają ludowe „malowanki” łowickie czy kaszubskie. Aktualnie pałac służy jako lokum dla znamienitych gości królewskich. Dziedziniec pałacu to piękny ogród z kwitnącymi drzewami i krzewami.

Jedziemy do ogrodu Majorelle, nazwanego tak od nazwiska znanego malarza francuskiego, który przyjechał do Marrakeszu w 1919 r., aby kontynuować swoją karierę artystyczną. W 1924 r. nabył teren mający stać się słynnym ogrodem Majorelle, a w 1947 r. udostępnił ogród publiczności. Po wypadku samochodowym malarz powrócił do Francji, gdzie zmarł w 1962 r. Ideą malarza było kolekcjonowanie roślin reprezentujących pięć kontynentów, co sprawiło, że ogród jest konglomeratem wielu form roślinnych – pustynnych, wodnych, a także reprezentujących klimat podzwrotnikowy i umiarkowany. Po śmierci Jacques’a Majorelle ogród nabył ekscentryczny francuski projektant mody – Yves Saint Laurent. Klimaty Maroka były mu z pewnością bliskie, bowiem urodził się w Omanie w Algierii. I on także pozostawił swoje piętno na wyglądzie ogrodu. Wśród zadbanych i wypielęgnowanych drzew i krzewów umieszczono liczne sadzawki, posągi, małe świątynie, a dominuje barwa ciemnoniebieska, niemal granatowa. Jedyne kolumna upamiętniająca projektanta wykonana jest z szarego marmuru i podobno mieści w sobie jego prochy. W ogrodzie mieści się niewielkie muzeum sztuki berberyjskiej oraz sympatyczna kawiarenka i sklepik o charakterze galerii. Aktualnie ogrodem opiekuje się przyjaciel projektanta Pierre Berge.

„Idąc za ciosem” udajemy się do ogrodów Menara (co oznacza lampę), założonego przez Almohadów w XIX wieku. Mohammed IV zbudował elegancki pawilon ozdobiony zielonymi płytkami stojący wśród cyprysów w pobliżu dużego stawu. Sam ogród nie robi specjalnego wrażenia – to właściwie olbrzymia plantacja drzew oliwnych.

Teraz już pozostaje nam droga powrotna do Agadiru. Już niemal po ciemku zatrzymujemy się, aby obejrzeć z bliska drzewa arganowe. Podobno w dniu jutrzejszym będzie można zapoznać się z nimi bliżej, a więc... do jutra. Nocujemy w znanym już hotelu Tulip Oasis, gdzie spędzimy dwie noce.

21 marca (środa)

Wyjeżdżamy dwoma busami gdzieś w góry, bo podobno nasz autokar nie zmieściłby się na wąskich zakrętach. I rzeczywiście jest to prawda, bowiem zakręty są obłędne, a kierowcy pędzą jak szaleni przed każdym zakrętem głośno trąbiąc. Widoki wspaniałe, pełno drzew arganowych pokrywających niemal całe góry. Rosną same, nikt ich nie sadzi, a każdy może korzystać z orzechów pokonując kamieniste stromizny. Myślę, że teraz jest stosowna okazja, aby napisać kilka zdań o tych drzewach noszących nazwy: argania żelazna, argania żelazodrzew lub drzewo arganowe. Nazwa łacińska to *Argania spinosa* należąca do rodziny sączyńcowatych (*Sapotaceae*). Drzewo arganowe pojawiło się około 80 milionów lat temu i przystosowało się do suchego i kamienistego terenu. Żyje 150-200 lat, a jego korzenie czerpią wodę z głębokości 30 m. Jest to endemit występujący wyłącznie w regionie Sous w południowym Maroku pomiędzy As-Sawirą a Agadirem. Ocenia się, że na tym terenie rośnie około 21 milionów tych drzew. Drzewo jest cierniste, osiąga wysokość 8-10 m. Pień jest często poskręcany i sękaty, co pozwala kozom wspinać się na drzewa i zjadać liście i owoce. Owoce są podłużne, przypominające żółędzie umieszczone dodatkowo w zielonej twardej okrywie. Z pestek wytwarza się olej jadalny zawierający do 68% ekstraktu. Wytłoki służą jako pasza dla wielbłądów, owiec, bydła i kóz. Olej arganowy wytwarza się po zmieleniu pestek w ręcznych żarnach – ciemniejszego używa się do celów konsumpcyjnych, jaśniejszego do celów kosmetycznych. Do uzyskania 1 litra oleju trzeba zużyć około 35 kg suchych owoców lub 2,6 kg pestek i poświęcić 15 godzin pracy. Olej arganowy należy do najrzadziej występujących olejów na świecie i jest najcenniejszym składnikiem kosmetyków.

Olej konsumpcyjny poprawia krążenie, wspomaga naturalną odporność organizmu, pobudza czynności mózgu i wątroby, chroni tkankę łączną, łagodzi bóle stawów, zapobiega miażdżycy i wykazuje wiele innych pozytywnych działań.

Olej kosmetyczny jest bogaty w nienasycone kwasy tłuszczowe (witaminę F) (ponad 80%), w tym kwas oleinowy stanowi około 45%, a kwas linolowy 35%. Zawiera wysoki poziom naturalnych przeciwutleniaczy oraz polifenole o działaniu antyoksydacyjnym i przeciwradikowym.

Pokonujemy Góry Atlas będące podobno najstarszymi górami świata, bardzo zniszczonymi erozją. O tym, że było tu kiedyś dno oceanu świadczy ogromna ilość skamieniałości obecnych wszędzie – na straganach, w przydrożnych sklepikach oraz sprzedawanych przez dzieci. Nawet mnie udało się znaleźć przy drodze dwie skamieniałe muszki albo jakieś inne stwory przypominające małże.

Mieliśmy oglądać wodospady, ale niestety, nie ma w nich wody, na zboczu góry pozostały tylko białe smugi wskazujące, skąd spływała. U podnóża góry pozostało coś w rodzaju głębokiej sadzawki, do której skacze ze skały głuchoniemy dziadek – miejscowa atrakcja turystyczna. Wracając w stronę

naszych busów kupujemy piękne wyroby wykonane z korzenia tui – pudełka, kasetki i jakieś bibeloty.

Odwiedzamy „kooperatywę” miejscowych kobiet zajmujących się uprawą i sprzedażą ziół, produkcją miodów, kosmetyków, tkanin, toreb – niektóre przedmioty są naprawdę atrakcyjne, ale ceny zdecydowanie odstrasza. Podobno w górach Atlas pracują wyłącznie kobiety wykonując wszelkie prace domowe, polowe i hodowlane, dla mężczyzn praca to coś uwłaczającego ich godności. Spędzają dni przy herbacie miętowej dyskutując na bliżej nam nieznanym tematy i rozmyślając. Nawet jeśli istnieje konieczność wybudowania domu zaprasza się do prac konstrukcyjnych członków innych plemion, aby miejscowi nie musieli skalać się pracą. Pytamy, czy dzieci są również dziełem obcych mężczyzn, ale trudno uzyskać wiążącą odpowiedź.

Nasz przewodnik po tej pięknej górskiej eskapadzie to Berber żonaty z Polką. Mieszkał w Polsce 10 lat i mówi po polsku świetnie. Zna poza tym kilka innych języków. Mówi, że w Maroku istnieją trzy języki berberyjskie, język marokański będący mieszaniną języka arabskiego, berberyjskiego i języka czarnej Afryki, język arabski potoczny, arabski klasyczny i język francuski. Berberowie należący do poszczególnych szczepów nie mogą się ze sobą porozumieć własnymi językami, dlatego najpopularniejszym pozostał język francuski. Znając wiele języków otworzył w Agadirze własne biuro podróży.

Wracamy do hotelu na kolację i szykujemy się do jutrzejszego wyjazdu.

22 marca (czwartek)

Po śniadaniu spacerujemy po nadmorskim bulwarze i wydajemy ostatnie dirhamy. O godzinie 12-tej opuszczamy pokoje i jedziemy na lotnisko. Powrót do Warszawy trwa krócej – „tylko” 4,5 godziny. Nocujemy w hostelu „Służewiec” i rano każda z nas wsiada do „swojego” pociągu – Lucyna do Wrocławia, a ja do Kutna. To już niestety koniec naszej sympatycznej eskapady. Pozostaje nam tylko pomyśleć o jakiejś nowej.